

[...] Ale jesień to czas obfitości zebranych z pól darów Bożych. Czas pełnych zboża stodół i spichlerzy, a obór pełnych nowego przychówku. To był też czas ożywionych jarmarków, które odbywały się w wielu miastach i miasteczkach na Wołyniu, także w Kostopolu. Tu napływało zboże z pobliskiej żyznej wyżyny rówieńskiej, zwierzęta hodowlane, a także owoce leśne z północnych terenów leżących nad Horyniem.

Jan z żoną wybrali się właśnie na jarmark do Kostopola. Na duży wóz załadowali kilka worków pszenicy i tyleż żyta oraz dużego kabana (wieprza). Karolina wzięła utuczonego indyka, kilka gąsek, trochę nabiału i jaj. Para silnych koni z trudem ciągnęła po piaszczystych i błotnistych drogach załadowany wóz. Miejscami, gdy droga wiodła pod górę, gospodarze chcąc ulżyć konikom schodzili z wozu i szli obok. Za nimi i przed nimi wlokły się chłopskie wozy, też załadowane towarem. Przy niektórych szły uwiązane do wozu, przeznaczone na sprzedaż krowy lub konie. Najczęściej chłopskie wozy ciągnęła para wielkich wołów. Zwykle z przodu wozu siedział chłop – *czołowik*, a w tyle, odwrócona plecami do kierunku jazdy, siedziała jego żona – *baba*. Chłop w czasie jazdy nie rozmawiał z żoną, nie było to w zwyczaju. Jechali w ciszy, słyszało się tylko głuchy turkot kół i skrzyp jarzma. Oprócz wozów, poboczem drogi na jarmark szli ludzie. Kobiety wiejskie niosły zawieszane na plecach *korobki* – kosze wypełnione plewą nadzianą jajami. Inne kobiety w takich koszach niosły nabiał lub grzyby. Szli mężczyźni, wielu z nich bez zamiaru handlowania. Po prostu szli jak na widowisko, żeby sobie popatrzeć.

W miarę jak zbliżali się do miasta, z innych dróg przybywało wozów też jadących na jarmark. Wkrótce na poboczach drogi ukazali się kupcy – Żydzi, którzy podchodzili do jadących wozów, macali worki i pytali: „Jakie zboże wieziecie i ile chcecie za meter?” (metr to 100 kg). Kiedy usłyszeli cenę, zadawali jeszcze jedno pytanie: „A jaka jest wasza ostatnia cena?”. Ci ludzie nie mieli zamiaru kupować (chyba że byłaby to jakaś wyjątkowo korzystna okazja). Ich zadaniem było badanie koniunktury. W owym czasie na Wołyniu Żydzi dyktowali ceny, za wyjątkiem towarów monopolowych no i wieprzowiny, którą nie handlowali ze względów religijnych.

Plac jarmarczny leżał za miastem. Panował tam war jak w garnku – gwar ludzkich głosów, kwik świń, ryk bydła, nawoływania woźniców poszukujących miejsca dla swojego wozu. Kompletny brak organizacji – żywiołowy rozgardiasz. Każdy na własną rękę szukał miejsca dla swojego wozu. I wreszcie stawał tam, gdzie się udało. Ale miejsce ustawienia wozu nie miało znaczenia. Wszędzie, do każdego wozu przyjdą kupcy zainteresowani towarem. Żadnego wozu nie ominie też placowy, który wypisuje kwitki i pobiera pieniądze za postój. Plac targowy był podzielony na dwie części. Środkiem przebiegała droga wyznaczona dwoma rzędami słupków, stanowiąca dojazd dla wozów kupieckich. Sprzedawcy nie mogli korzystać z tej drogi ani ustawiać na niej wozów. Informowały o tym tablice i pilnował tego placowy. Czasami widziało się przechadzających się tam policjantów, którzy chodzili parami z paskami pod brodą i marsowymi minami.

Jan szybko się zorientował, jakie są ceny i sprzedawał zboże. Znaleźli się też kupcy, którzy kupili wieprza. Z dużym trudem ściągnęli z wozu rozpaczliwie kwiczące zwierzę i na postronku uwiązanym do tylnej nogi pognali w kierunku swojego wozu. Warto wspomnieć, że po dokonanej transakcji jeden z kupców wyjął z kieszeni butelkę wódki i proponował Janowi wypicie *mohoryczu*, ale ten odmówił. Nie dlatego, że w ogóle nie pił. On też przy innych okazjach nie wylewał za kołnierz, ale teraz, gdy miał przy sobie spory trzos pieniędzy, nie mógł sobie na to pozwolić. Na jarmarku kręciło się dużo kieszonkowców, a on chciał przejść się po placu, popatrzeć na towary i ceny, a także przyjrzeć się różnym jarmarcznym scenom. Musiał być czujny, by nie paść ofiarą złodziei.

Karolina siedziała na wozie i czekała na kupców jej towaru, a Jan dosypał obroku koniom i udał się na plac, a właściwie zanurzył się w jarmarczne mrowie ludzi, wozów i zwierząt. Czego tam nie

było... Rzemieślnicy informowali o swoich stoiskach wywieszając na długich tyczkach swoje wyroby: buty, czapki, koszyki... Wszędzie gorączkowo kręcili się Żydzi; brali do ręki towar, pytali o cenę, targowali się, tumanili partnera, kłócili się z nim, aż wreszcie dochodzili do porozumienia i finalizowali transakcję.

Jan obserwował Cyganów - handlarzy końmi, jak potrafią sprytnie dyscyplinować konia, sprawiając, że ten przebiera nogami, pręży się i drży gotowy do biegu. Bywają konie leniwe lub narowiste. Cyganie potrafią przysposobić je tak, że będą prezentowały się jako posłuszne i bystre. Jeżeli nie mają sposobu na pobudzenie konia skrajnie leniwego, odprowadzają go na stronę i przez nozdrza wlewają mu butelkę wódki, wtedy nabiera on wigoru i prezentuje się znakomicie. Po sprzedaniu takiego konia Cygan szybko ulatnia się z placu, gdyż alkohol tylko na krótki czas wzbudza u zwierzęcia energię. Po chwili koń opuszcza głowę, słabnie i nie ma ochoty ruszyć się z miejsca.

Popatrzmy, jak zachowują się na jarmarku chłopci ukraińscy. Zwykle chłop zabiera z sobą żonę – *babę*. Ona siedzi na wozie i sprzedaje swój towar: nabiał, drób, jaja. Jej mąż – *czotowik*, stoi przy wozie i sprzedaje zboże, trzodę chlewną, ewentualnie krowę czy konia. Taki jest podział ról: ona sprzedaje drobny towar, a on ten grubszy. Wedle ówczesnego zwyczaju chłop uważał za ujmę handlowanie towarami, które należą do jego żony; on nawet nie interesował się, co i za jaką cenę sprzedawała. Bywało, że ktoś zapyta chłopca: „Gospodarzu, czy na waszym wozie jest ser czy mleko?”. Chłop wiedział, że jest, ale odpowiadał: „*Ja ne znaju, ce moja baba*”. I wskazywał na swoją żonę. Ta zaś niewiele znała się na pieniądzach i należność przyjmowała na wiarę. W tamtym czasie takie sumy regulowano bilonem. Wiejskie kobiety zawiązywały ten bilon w płócienne chusteczki. Kiedy potrzebowały sięgnąć po te pieniądze, rozsupływanie węzełka trwało długo.

Na jarmarku można było zobaczyć różnych kuglarzy, oszustów czy zonglerów kartami zwanych *tuzikami*. Taki spryciarz miał swój nieduży stolik i pochylony nad nim błyskawicznie przebierał kartami. Miał tych kart kilka. Najpierw pokazywał je otaczającym go ludziom i następnie układał je odwrócone na stoliku i proponował, by widz wskazał, gdzie znajduje się jakaś konkretna karta. Kładł przy tym złotówkę jako nagrodę dla tego, kto właściwie wskaże. Ten, kto zdecydował się na grę, musiał położyć na stoliku swoją złotówkę. Wydawało się to proste, ale *tuzik* tak szybko i zwodniczo rozkładał karty, że nikt nie wygrał, a przy tym tracił swoją złotówkę. Dla zachęty zongler miał swoich naganiaczy, którzy, wtajemniczeni w arkana gry, zawsze wygrywali i tym zachęcali gapiów do udziału w grze. Bywało, że taki oszust nagle związał swój interes, chwycił swój stolik i zniknął w tłumie. Działo się to wtedy, gdy otrzymał sygnał o zbliżającej się policji.

Jan wracał do swego wozu patrząc na targujących się, pijących *mohorycz*. Widział nawet hyclów uganiających się za psami, które przyszły tu za swoimi panami. Natknął się też na Cyganki z dziećmi – żebrzące lub proponujące swoje usługi wróżbiarskie. W całym tym zgietku i podnieceniu ludzi szukających towaru, diskutujących i kłócących się między sobą najspokojniej zachowywały się woły, które parami spięte jarzmem niespiesznie jadły sobie siano lub stały jakby zamyślane, leniwie żując żujkę.

Karolina dawno już sprzedała swój towar i z niecierpliwością oczekiwała męża. Widząc go nadchodzącego ucieszyła się i gdy się zbliżył, rzekła:

– *Ja już bojała się żep ty ni zabłądził, toż tutaj wiency narodu jak na odpuszcie. A i żulików, i złodziei krenci się tut ni mało, żep kogoś okraść albo obmanić. Ja bojała sie, żep ciebie ni obkradli.*

– *Ni turbuj się, ja ni pierwszy raz jarmark widział* – uspokajał żonę Jan, szykując konie do jazdy powrotnej.

Mimo iż rozładowany wóz pozwalał konikom na niektórych odcinkach drogi biec, do domu przybyli gdy zapadła już noc.